

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 19. Grudnia 1897.

Idealy zyciowe.

VII.

Czy ideal Szczęścia daje się zastoso-
wać do Natury? Sądzę, że — tak,
na zasadzie podobieństw jakie istnieją
między rozmaitemi dziedzinami Natury
a istotą ludzką.

Wieg powietrze i wodę można na-
zwać „szczęśliwymi”, gdy — ulegają
umiarkowanemu ruchowi, ciąglej od-
nowie, gdy wreszcie są pełne istot ży-
jących.

Podobnie jest „szczęśliwa” ziemia,
gdy otrzymuje należyty pokarm w for-
mie nawozów, gdy jako ugor, odpo-
czywa po pracy, gdy głębsze jej war-
stwy, uśpione przez całe wieki, dzięki
plurowi wydobywają się na wierzch i
przyjmują udział w życiu, gdy wresz-
cie ziemia nie choruje ani na nad-
miar wilgoci, która uszuwa się za po-
mocą rowów i drenów, ani na suszę,
której zapobiega się irygacją, czyli
nawadnianiem.

Ziemia, jak kobieta, musi rodzić,
karmić i otaczać się swoim potom-
stwem. To też parki i ogrody zasadzo-
ne mnóstwem gatunków roślin, rozle-
gające się śpiewem ptaków i brzę-
kiem owadów, narazie — pełne we-
sółch ludzi, są przykładami najwyż-
szego szczęścia, jakie może osiągnąć
ziemia.

Powie ktoś, że jest to poezja, że
to my jesteśmy zadowoleni, ale nie
ziemia. Mnie, że przyjdzie czas, kie-
dy dla ludzi „szczęście” nie bę-
dzie figurą pisarską, lecz wzniosłą re-
eczywistością.

Mineral wóczas zapewne jest szcze-
śliwym, kiedy wydobyty z głębi ziemi,
wychodzi na światło, powietrze i
przyjmuje udział w niezmiernym wi-
zie życia.

A rośliny i zwierzęta?..
Z pewnością, że te drzewa, którym
brakuje światła albo wilgoci, którym
połamano gałęzie i poraniono korę, że
te rośliny są nieszczęśliwe w poro-
wnaniu z takimi, które rosną na ży-
wym gruncie, bez chorób i kalektwa
dosięgają pełnego rozwoju.

Co się tyczy zwierząt — przypomnia-
my sobie ptaki wykradzione z gniazda,
zające głodne w zimie, lisy łapanie
z łazela, ryby polujące na kłuski, szcze-
rny z wypalczami oczyma, dodajmy
do tego okropne męczeństwa zwierząt
domowych i powiedzmy, czy ci — bli-
socy nasi — nie są nieszczęśliwymi z
naszej winy i czy nie mogliby być
szczęśliwymi?

Moim zdaniem, należałoby utwo-
żyć u nas jakieś Towarzystwo przy-
jaciół Natury, które czuwałoby nad
szczęściem nie tylko zwierząt, nie tylko
roślin, ale nawet ziemi, lasów, stawów
i t. d.

Dowiedzieć się rzeczy dziwnej i
wzniosłej. Dla okrutników i egoistów
Natura przedstawia się jak olbrzymi
omentalarz wszystkich co oddycha. Ale
dla tych, którzy ją kochają, badają i
pracują nad jej szczęściem. Natura u-
kazuje nam jak istota żywa, pełna do-
brodusznego wdzięku, dziecinnej nai-
wności, maojerzyńskiej ozolności —
niekiedy dzikiej grozy, albo głębokiej
melancholii.

Zapytając rolnika, ogrodnika, pa-
sterza, gajowego, rybaka, a oni nam
powiedzą: czy Natura nie żyje, czy
nie rozmawia z człowiekiem, czy nie
bawi się jak dziecko, albo nie wpada
w gniew wobec jakiegoś niewidzialne-
go wroga?

Nie trudno się też, że polamane
drzewo nie skarży się, albo że biedne
zwierzę w skradającym się myślowo
nie odgaduje mordercy.

Co się tyczy idealu Doskonałości
— Natura przedstawia taką jedność
wśród nieskończonej rozmaitości, tyl-
ko harmonii i proporcji, tyle ruchów,
rytmów, porządków i praw, że jest
ona najdoskonalszą całością — jaką
znamy.

Abym przekonał się o tem, niech
kto zbierze rozmaite krajobrazy: pod-
ziemne, podbiegunowe, stref u-
miarkowanych, górskie, morskie, rów-
nikowe i pustynne, a z pewnością
powie, że oglądanie tych onów cho-
by w niedolędnym kopisach, przynio-
sło mu wiele prawdziwej rozkoszy.

Człowiek jednakże nie ogarnia
wzrokiem całej ziemi i wszystkich jej
piękności, jest bowiem przywiązany
tylko do pewnego jej zakątka, który
posiadając jakiś pojedynczy rodzaj
piękna, nie posiada tysięcy innych.

Z tego powodu ludzie sami przy-
odabniają ziemię: sadzą drzewa,
wznoszą sztuczne pagórki i skały,
zaprowadzają wodę tam, gdzie jej
nie było, wreszcie budują gmachy,
niekiedy o fantastycznych barwach i
kształtach.

Jest to szlachetne zajęcie, specy-
alny rodzaj sztuki, który polega nie na
malowaniu krajobrazów na płótnie,
lecz na „tworzeniu” ich wśród natury.
Jest to — „doskonalenie” uboższych
zakątków Natury.

Rozumie się, że nie każdy ma
środki na zaprowadzanie parków,
wznoszenie sztucznych skał, kopanie
jezior itp. Niemniej jednak można
i w tańszy sposób udoskonalać miej-
scowości za pomocą sadzenia drzew
według pewnego porządku, wznosze-
nia budowli i — nade wszystko — ro-
bienia dróg, które ludziom ułatwiają
dostęp do ładniejszych punktów oko-
licy.

Do tej kategorii prac należy pod-
trzymywanie starych zabytków archi-
tekturalnych, a choćby tylko malow-
niczych ruin, które bardzo pięknie
okolicę, budzą dla niej ciekawość i
zabawiają podróżnych.

Przy sposobności nie mam dość
słów zachęty do tego, ażeby związa-
ł u nas „Towarzystwo odbywania wspól-
nych wycieczek”. Naród zaś nasz
uważałby za prawdziwie szczęśliwy
dopiero wówczas, gdyby każdy ozo-
wił, choćby najuboższy, mógł przy-
najmniej tydzień w ciągu lata poświę-
cić na jakiś dalszy spacer.

Obcowanie z naturą, bodaj przez
kilka dni w roku, jest potrzebą nie-
tylko muskulów i płuc, ale przede-
wszystkiem duszy ludzkiej. Rzecz ta,
osobliwie dla młodszych, ma pierwszo-
rzedną doniosłość. Jestem pewien, że
ludzie byłoby lepsi, gdyby mogli swo-
bodnie, bez trosk, choć przez krótki
czas, przypatrywać się ziemi i niebu.

Bolesław Prus.

Argonautki.

Jeden z ostatnich numerów lo-
dyńskiego *Graphic* podaje reproduk-
cję fotografii zdjętej w Dyce — miejsc-
owości, od której zaczyna się droga
lądowa do Klondyke na Alasce. Foto-
grafia przedstawia kilkuset ludzi roz-
łożonych obozem wśród takiej masy
worków, paków i pakunków, że dalsza
podróż w tych warunkach wydaje się
niemal niepodobną. Są to osad-
nicy udający się do odkrytych przed
niedawnym czasem kopalni złota w
Klondyke. Kopalnie te mają się od-
znaczać bajecznością bogactwem, prze-
chodzącym wszystkie dotychczas zna-
ne opisy. To też emigracja w kierun-
ku „złoty pól” wzrasta nienaturalnie
i mimo zastraszających opowieści
tych, którzy wracają z Alaski, obecnie
okolicie Klondyke zaczynają już nale-
żeć do mocno zaludnionych.

Daje się tam wszakże uczuwać
brak kobiet.

Abym zapobiedz „Herald” new-
yorki zorganizował na własną odpo-
wiedzialność wyprawę z trzechset ko-
biet, z których wreszcie każda musia-
ła się zobowiązać do zaślubienia
jednego z osadników. Plan ten nie za-
leżał uznania w oczach „nowych ko-
biet” dających do zupełnej niezale-
ności. Natomiast utworzył się „syndy-
kat” z kobiet i dziewcząt, które po-
stanowiły doprowadzić do skutku sa-
modzielną kobiecą wyprawę do ko-
palni.

W tym celu syndykat wystosował
odezwę do wszystkich kobiet zdro-
wych fizycznie i mogących rozporzą-
dzać sumą tysiąca dolarów. Jest to
cena, za którą syndykat podejmuje
się opłacić koszt podróży, osiedlenia
i pobytu przez sześć miesięcy, licząc
od dnia wyruszenia. Na koszt po-
wrotu po sześciu miesiącach liczy się
jeszcze pięćset dolarów, syndykat
wszakże nie sądzi, aby wielu ozo-
ło koszt wyprawy chciało wracać po tak
krótkim czasie. Zamiarem jego jest
założyć w Klondyke wielką kobiecą
osadę kopalniczą z własnym szpi-
talem, pomocą lekarską i prawidłowym
dowozem żywności. Na koszt tego
wszystkiego uczestniczki zobowią-
zały się oddawać 10% dochodu z eksploa-
tacji, albo ze sprzedaży tej części
gruntu, jaka przypadnie w udziale
każdej z nich. Odezwa głosi w dal-
szym ciągu, że obowiązkiem każdej
uczestniczki będzie przyczyniać się
wedle możliwości do powodzenia i do-
bra całego przedsięwzięcia, oraz speł-
niać obojętne wszelką robotę, jaka jej
będzie wyznaczona w drodze czy w
obozie.

Ze spisu przedmiotów, które wy-
prawa ma zabrać z sobą, okazuje się,
jakiego rodzaju będzie to robota. Na
każde dwadzieścia kobiet przypada 25
motyli, 25 szufli, dziesięć młotków ko-
walskich i tyleż lekkich młotków, 10
czerpaków, sześć tańców, 20 wiader, a

oprócz tego piły, haki, siekiry, dra-
gi, gwoździe, śruby i t. d. w końcu
dziesięć zgrzebel konskich i szozetek.
Wobec tego nie należy się dziwić, że
odezwa, w szeregu rad dotyczących
się rzeczy, które mają służyć do oso-
biściego użytku, zamieszcza dyskretną
uwagę, iż spodniczki powinny być
krótkie i że najlepiej było zastąpić
je przez męskie ubranie. W ogóle ca-
ła osobista wyprawa nie powinna
wazyć więcej nad 108 funtów. Prócz
rozmaitych przedmiotów, obowiązkowo
mają się w niej znaleźć nieprzemakal-
ne okrycie i kapelusz, dwie pary cie-
płych rękawic skórzanych, trzy ciepłe
kaftanki wełniane, trzy lekkie, dwa
ciężkie kostiumy wełniane, jeden lekki
szary, para bluzek kolorowych, dwie
pary ciężkich butów z szerokimi
podeszwami i niskimi obcasami, fu-
trzaną kapturę, czapkę i kamazę. Jak
widzimy, nie ma tu miejsca na ele-
gancję.

Od uczestniczek wyprawy wymaga
się siły, wytrzymałości w znoszeniu
trudów, niebezpieczeństw, niedostatku
i kłopotów, których nie braknie na-
wet przy najpomyślniejszym zbiegu
okoliczności. Zdałoby się wobec te-
go, że wyprawa kobieca na „złote
pola” Klondyke albo nie dojdzie do
skutku, albo w braku odpowiadają-
cych kandydatek, przynajmniej odwie-
cie się na czas nieograniczony. Tym-
czasem dzień odjazdu został nazna-
czony na 1 marca, a we wrześniu te-
go roku syndykat wobec napływu
zgłaszających się musiał już zamknąć
listę uczestniczek.

Widać, że w kobietach dzisiejszych
drzemają jakieś nieznane dawniejszym
zasady, instynkty i dążenia — i że
trzeba tylko sposobności, aby je zbu-
dzić do czynu. Na ostatek wyprawy stoi
mrs. Sarah Macdonald. Na każde dwa
dzieńsia kobiet wyprawa zabiera je-
dno go doktora i inżyniera z kilku po-
mocnikami. Prócz tego syn mrs. Mac-
donald towarzyszy matce.

Jednocześnie wyruszą dwie wy-
prawy męskie „New-York Klondyke Ex-
pedition” i „Blasco Expedition”. Po-
między wyprawą mrs. Macdonald a te-
mi ostatnimi nastąpiło porozumienie,
polegające na tem, że podróż i obozo-
wanie będą się odbywały wspólnie, co
usunie wiele trudności.

Droga idzie najpierw koleją żela-
zną z New-Yorku do Seattle nad mor-
zem. Jest to 3310 mil angielskich,
których przebycie wymaga 7 dni i 7
nocy. Następnie podróż morzem do
Sitki zajmie cztery dni. Od Sitki za-
czyra się oaziłłwa część drogi: 700
mil angielskich trzeba przebyć pie-
chotą, podczas gdy olbrzymie zapasy
żywności, pakunki i narzędzia nie-
kiedy będą zwierzęta juczne, albo wieżę
będzie trzeba na saniach. Nolegi będą
się odbywały na wozach zaprzę-
gonych w woły, w namiotach i na ha-
matkach.

Wyprawa ta jest pierwszym tego
rodzaju objawem samodzielności ko-
biecej, a prawdopodobnie nie ostatnim.

Z TEATRU.

Trzeba mieć nadzwyczaj zgrabne
ręce, aby świerszoka, którego wybra-
nienie łączy się nierozdzielnie w u-
myśle ludzkim z całym prozaicznym
aparatem kuchennym, z nieumyślnymi
dziewkami i spoczną służbą folwarcz-
ną, pochwylić ze strony poetycznej i
przedstawić go widom, słuchaczom,
czy czytelnikom w sposób zajmujący.

Willner, który ułożył libretto Gold-
markowa do „Świerszoka za piecem”
miał ręce bardzo niezgrabne. A nie-
dlugo mu było samego świerszoka —
w dodatku wprowadził na scenę drugą
jeszcze rzecz wcale niesympatyczną:
małżeństwo, złożone z poddaśnianego
męża, pocztynioną, nieokrzesanego i-
stotnie jak pocztynioną i młodzień-
ką, tak młodzieńką i naiwną, że
ze świerszokami w kuchni rozmawia
pocztynioliwie jak dziecko z lalką i
odgrywa w oczach męża umyślnie a
bez najmniejszego powodu scenę zdra-
dy małżeństwa — ot tak po to tylko,
aby autor mógł później skomponować
scenę pojednania.

Na drugim planie stoi i płocze się
z powyższą historią romans dziewczyny,
która już miała wyjść za starego
bogacza, gdy nagle pojawia się w sam
dzień ślubu zaginiony kochanek i szcze-
śliwym zbiegiem okoliczności okazuje
się posiadaczem całej torby drogoce-
nych klejnotów. One to rozwiązują
wszystkie zawikłania i pozwalają za-
kończyć ogólną harmonię sztukę, w
której upersonifikowany świerszok gra
zbędną rolę tłumacza rzeczy zupełnie
jaśnych. Przełożył to wszystko na je-
zyk polski pan L. G. którego styl

pozbawiony jest niestety całkowicie
poezji, wdzięku i siły.

Do librecisty dostroił się kompozy-
tor. Muzyka „Świerszoka za piecem”
jest z kilku wyjątkami bezbarwną i
powierzchowną, czyli mówiąc inaczej
nie ma dość siły, aby wstrząsnąć słu-
chaczem i dać mu jakieś głębsze wra-
żenie. Melodya w niej jest łatwą i
płynną, ale niezbyt oryginalną. Słu-
cha się jej bez nieprzyjemności, bo
zrobiona jest zgrabnie, a tu i owdzie
zwłaszcza np. w arii młodej żony w
w drugim akcie ma nawet dość wdzięku,
ale na ogół nie przekracza granic
miernoty.

Charakterystyka muzyczna postaci
najwięcej Doroty, poważnego pocztyni-
ona jej męża, komiznego Takletona
i lirycznego kochanka jest konsekwent-
nie p. wprowadzona, w akcie trzecim
zdobywa się nawet mąż Jan na coś
podobnego do operowej w większym
stylu arii, w akcie trzecim chór jest
doskonale przeprowadzony i pełen wy-
razu — a mimo to całość jest malut-
ka i nieznaczna bo nie jest dziełem na-
tchnienia i świadomego siebie artysty,
lecz jakby próbą tylko.

Za to pod względem umiejętności
zlewania rozmaitych dźwięków orkie-
stralnych i głosowych w pełną harmo-
nii i pod względem pomysłowości
w wyszukiwaniu efektów muzycznych
nie może Goldmarka w „Świerszoku”
żaden zarzut spotkać. I tu wpraw-
dzie nie dokonano niczego nadzw-
yczajnego, ale jest wszędzie dobrym.
Duet unisono na głosy żeńskie w ak-
cie pierwszym, motyw orkiestralny
dla świerszoka, który się kilka razy
w operze powtarza, gonitwa instrumen-
talna jednego za drugim w akcie dru-
gim, wstęp do aktu trzeciego są bar-
dzo oryginalnie pomyślane i wykonane
z całym artystyzmem. W paru tylko us-
tach przypominają się już słyszane
ręczy.

Wczoraj pierwszy raz dawanego
we Lwowie „Świerszoka” wystawiła
dyrekcja bardzo starannie, a nawet
wspaniale, za to wykonanie wokalne
było bardzo nierówne. Panna Bohus-
sówna dostała i partję i rolę odpo-
wiedzi dała sobie, to też śpiewała i
grała doskonale, tak samo jak p. Gór-
ski, który mimo że przywiózł napo-
wyt głos jak dawniej twardy, wityny
był gorętszym oklaskami. Panna Bo-
hussówna arię z drugiego aktu mu-
siała powtórzyć. Reszta wykonawców
śpiewała jak mogła, niewyłączając nie-
stety nawet p. Boguckiego, któremu
partję nie dla niego przeznaczono.
Bardzo wdzięcznym świerszokowi-
bą panna Ludkiewiczówna, która de-
klamę doskonale i głos ma bardzo
miły, ale też i tremie poddaje się cał-
kowicie.

Klaka teatralna dopuszczała się
wczoraj nadzwyczajnych wystryków i
tylko chyba dlatego darował jej je
można, że między innymi okazała się
łaskawą i na pannę Ludkiewiczówną,
której potrzeba ośmieszenia i zachęty.
Ogół publiczności, która teatr wczoraj
zapelniała szczerze, nie był zbyt
rozentuzjowany sztuką.

ROZMAITOSCI.

Szpiegostwo wojskowe. Wobec wzno-
wienia procesu Dreyfusa znów prawa rozpi-
suje się szeroko o szpiegostwie wojskowem,
które we wszystkich krajach Europy coraz
szersze przyjmuje rozmiary. Nietylko indy-
widua z podziemnej gwiazdy, nie tylko des-
peraci nie mający nic do stracenia, garną
się do tego rzemiosła, lecz nawet w kołach
oficerskich staje się ono ulubionym sportem
i brawurą. Jeden z dziennikarzy niemie-
kich interwiewował w tym kierunku kilku
generałów, między którymi znajdował się
podobno pewien eksminister wojny. Rozmo-
wa z tym eksministrem zawiera sporo ciek-
awych szczegółów.

Szpiegostwo — mówił mniej więcej dy-
gnitarz wojskowy — stanowi smutny roz-
dział życia naszego, a smutnem mianowicie
jest to, że przestało ono uchodzić za rzem-
iosło nieuczciwe, że dzisiaj oficerzy nawet
uprawiają je z zamiłowaniem, oczywiście
tylko w służbie ojczyzny własnej. Szeroka
publiczność nie ma wyobrażenia, w jakim
stopniu to się rozwija. Mojem zdaniem,
wprowadziły tu administracje wojskowe nu-
ta fałszywa do muzyki swojej i postąpiły
bardzo rozstrępnie usuwając ją jaknajrychlej.
Dziś wprawdzie szatęgi stąd powstające za-
łatwiają się z łamiami, ale to przedaj, czy
później zmienić się może. Dziś schwytych
na zakazanych „studach” oficerów — oni
zawsze „dla studyów” tam przebywają, gdzie
być nie powinni — uprasza się po przyja-
cielsku, aby raczyli badania swoje dalej
prowadzić w takich miejscach, gdzie pobyt ich
nie może nastąpić powodu do nieporozu-

mień. Niekiedy pozwala im się także do-
konać wielkiego „odkrycia” które naturalnie
jest mistyfikacją, urządzoną ku rozweseleniu
oficerów szpiegowanej forticy. Dzieje się to
zwykle tak, że gdy jakieś sekretne rozporzą-
dzenie, jakiś plan mobilizacyjny, jakiś ga-
tunek broni lub amunicji został zmieniony,
oficerzy garnizonu starają się usilnie o to,
aby za drogą pieniądze sprzedać szpiegowej
prawdę wczorajszą, a więc już bezwartości-
wą. Udaje się to zazwyczaj i szpiegujący ofi-
cer powraca dumnie do ojczyzny, a za je-
go plecami ludzie kpią i śmieją się w ku-
lak.

Ale z tego, że sprawy te traktuje się
dzisiaj języczką pobłażliwie, nie wypływa by-
najmniej, że sytuacja jutro nie ulegnie
zmianie. Przepisy prawne, dotyczące szpie-
gostwa, zostały obojętne przez wszystkie
mocarstwa, a gdy młarka cierpliwości wresz-
cie się przebieżę i przepisy te znajdą za-
sadowanie wobec oficerów zagranicznych, to
łatwo skończyć się to może skandalem wiel-
kich rozmiarów.

Dowcipnie postąpił sobie kiedyś w takim
wypadku jeden z generałów rosyjskich na
Krymie. Wiadomo, że attachés wojskowi
obcych ambasad mają przywilej nietykalo-
ności, jako członkowie korporacji dyploma-
tycznej. Nie potrzeba także tłumaczyć, jakie
są zadania tych panów. Nie stawia im się
żadnych przeszkód, wolno im dowiadywać
się o wszystko i otrzymują oni informacje
nie wiele gorsze od oficerów krajowych.

Alle jeden z angielskich attachés wojs-
kowych uznał widocznie za właściwe, że
lepiej osobiście badać sekrety wojskowe, niż
męczyć pytania oficerów rosyjskich. Po-
godził wszelkimi zastrzeżeniami i symulacją,
wyjechał do Krymu i przystrojony w mundur
ochronny, rysował sobie bez ceremonii
porty i fortyfikacje.

Otwartość ta wzruszała wszystkich na-
wistością swoją, ale ostatecznie dla władz
rosyjskich była arcyniewypodoba, bo znajdo-
wały się, mianowicie w portach, urządzenia
takie, że ostrożność nakazywała ukrywać je
przed admirałicją angielską. Wtedy to jeden
z generałów rosyjskich wpadł na myśl bar-
dzo dowcipną. Oto pewnego dnia ukradziono
oficerowi angielskiemu wszystkie kufry, a
gdy poszkodowany zgłosił się ze skargą do
policyi, oświadczone mu, że w przeciągu
kilku godzin znajdą się niewątpliwie przed-
mioty zabrane, ale agenci policyjni ma-
ją szkiełko dokładne, jakie skarby ukryte
były w kufarach Anglik sporządził natych-
miast inwentarz rzeczy skradzionych, a poli-
cyja dotrzymała słowa. Jeszcze tego samego
wieczora otrzymał attaché wojskowy kufry
swoje, ale doniesiono mu zarazem, że zło-
dziejstwo widocznie dokonali grabieżcy równo-
cześnie w innych mieszkaniach, bo w ka-
kich znalaziono przedmioty nie wyszczególnio-
ne w inwentarzu. Przedmioty te zatem
pozostaną nadal w biurze policyjnym, dopó-
ki nie zgłosi się właściciel prawdziwy, a w
procesie sądy powołają się na świadectwo
pana ofiera. Można sobie wyobrazić przykre
zdziwienie Anglika. Zrozumiał podstęp i
nie czekając na proces, wytoczony rzekomo
złodziejom, podał się niezwłocznie do dym-
sy i niebawem z Krymu wyjechał.

Dni Falbowski. Falb wydał już
przepowiednie pogody na pierwsze półrocze
1898 r. oraz krytyczne dni całego roku.
Jak zwykle, dzieli dni na trzy kategorie
i grupuje w sposób następujący: Krytyczne
dni pierwszej kategorii: 22 stycznia, 30 lu-
tego, 8 marca, 6 kwietnia, 6 maja, 8 lipca,
31 sierpnia, 30 września i 15 października.
Drugiej kategorii: 6 lutego, 20 kwietnia,
4 czerwca, 17 sierpnia, 16 września, 29
października, 14 listopada i 13 grudnia.
Trzeciej kategorii: 8 stycznia, 30 maja, 19
czerwca, 18 lipca, 28 listopada i 28 gru-
dnia. Co do pogody, na pierwsze półrocze
roku przyszłego, to Falb przepowiada: W
połowie stycznia wielkie mrozy i susza. Na-
stępnie spadną deszcze, ostatecznie dni miesiąca
znów przyniosą śniegi i ostatecznie łagodną
suchą pogodę. Luty rozpocznie się od sta-
bych deszczów, dalej pójda ulewę i wichry,
aż w połowie miesiąca spadające śniegi wy-
tworzą zwykle zimowe błaski, kilka dni
przymrozków, a w końcu miesiąca ponowny
deszcz ze śniegiem. Krytyczny termin 20 lu-
tego, zdaniam Falba, może przejść bez śla-
du. Marzec rozpocznie się łagodnie z pier-
wioskami, które jednak rychło znikną pod
gęstym śniegiem. Pomocni to ulewny deszcz,
który znów śnieży śniegi, lecz tylko chwi-
lowo, gdyż w ostatnich dniach marca znów
śnieg pokryje ziemię. Kwiecień, będzie to
ciepło, to zimno, około 20 pierwszy pierw-
szak burzowy wiosenny. W maju nieprzerwane
deszcze. W czerwcu zimna i deszcze ulewne,
jedynie w ostatnim tygodniu nieco ciepła i
pogody. Tak brzmi smutna przepowiednia
Falba.

Dom celnika. W Saint-Mandé ukoń-
czono gmach dohodowy, zbudowany na
miejscu, gdzie przed paru jeszcze miesiącami
wznosił się dawny dom nadintendanta Fou-
quetta, mniej sławny wprawdzie, niż pałac
w Vaux, zawierający jednak bogactwa nie-
słychane. Biblioteka składa się z 30.000 to-
mów i 1.050 rękopisów wielkiej wartości,
Fouquet wydał 1.000.000 frank. na ten
gmach.

Napoleon I budowniczym. Prefekt
Korsyki p. Cassagneau, przedstawił zgroma-
dzeniu, obradującemu nad wzniesieniem po-
łączonego szpitala dla wojskowych i cywil-
nych, plan takiej instytucji, sporządzony
własnoręcznie przez Napoleona I, a odnale-
ziony niedawno w archiwach miejskich. Ca-
sarz jako miejsce najodpowiedniejsze wska-
zywał Olizeto. Plac ten istotnie odpowiada
najzupełniej wszelkim wymaganiom medy-
cyny i higieny. Dotychczasowe budynki szpi-
talne mają być obrócone na hotel i kasyno
i urządzone za przepychem.

Przekupienie Gomeza. Zaczynają zno-
wu krążyć pogłoski o przekupieniu przez
rząd hiszpański przywódców powstańców
na Kubie. Wedle tych wersji generał Gome-
z góto jest przyjadł do rządu penę do
życiową, za pozostawienie towarzyszyw broni
ich własnego losowi. W takim razie na
czele powstańców znalazłby się generał Ca-
lizo Garcia, któryby sam nie był w stanie
prowadzić zapasów dalej. Zresztą i on dałby
się przekupić. Kubńczycy, zamieszkali w
Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej,
obawiają się, że Gomez nie oprze się poku-
sie. Jest bardzo chciwym. Do udziału w
powstaniu skłonili go znaczne sumy, zebrane
przez newyorską Juntę. Otrzymawszy je,
występował przez jakiś czas, jako przywó-
dca powstańców, gdy jednak zaprzestano na-
dawać mu zasiłków, ukrył się w górach i
wiedział o sobie nie dawał. Dopiero, gdy syn
jego został zabity przez Hiszpanów razem z
Maeo, wódz wyłonił się ze swej kryjówki i
walczył dalej, z zemstą.

Toalety aktorek i menarchii. Nad-
mierny zbytek w toaletach rozpowszechnia
się coraz bardziej na wszystkich scenach
świata, doprowadzając do ruiny najlep-
sze krawieże wiedeńskie wytoczył proces
znanej primadonne dramatycznej o wypłatę
17.000 szr. należnych za toalety, sporządzo-
ne w ciągu dwóch miesięcy. W toku proce-
su wyszło na jaw, że aktorka przez lat trzy
wydała na kostiumy 84.000 guldenów. Do-
wiadujemy się przytem, ile kosztują toalety
teatralne. Za „skromny” neglż płaci się
200 do 300 szr., za kostium spacerowy 150
do 300 szr., za toaletę balową 400 do 600
i 800 szr. Pewna śpiewaczka operetkowa
sprawiła sobie niedawno za 4.000 szr. toa-
letę na premierę, tłumacząc się, że skoro
gra rolę „królowej”, musi wystąpić odpo-
wiednio. Otoż przyjrzyjmy się, ile prawdzi-
we monarchie wydają na swe toalety. Mło-
dzianka królowa holenderska zamawia suk-
nię w Paryżu w cenie przeciętnej 100 do
120 szr. za toaletę. Córki cesarskiej austry-
ackiej, arcyksiężna Marya-Walerya i Gisela
noszą suknie po 200 do 300 szr. Cesarzo-
wna niemiecka ubiera się w Wiedniu; za toa-
letę dworską zapłaciła niedawno 600 szr.
Najnowsza suknia cesarskiej Elżbiety au-
striańskiej — czarna sukienka, krejem an-
gielskim z żakietką, kosztowała 180 szr. —
Widzimy więc, że prawdziwe królowe są
daleko skromniejsze od królowych teatral-
nych.

Wiadomości giełdowe.

Wiedeń dnia 18 grudnia. Przed sam-
knięciem wczorajszej giełdy notowano kredyty
351-15. Kredyty węgierskie 380—, Anglo-
banki 160—, związku bankow. 253-50,
Unionbank. 292 30, Landerbank 258-50,
staatsbanky —, Lombardy —, kolej
naddańska 260—, kolej północno-zachodnia
—, tytoniowa 155—, Rima 245—,
Alpiny 130—, renta majowa —, Renta
korony węgierskiej 99-45, losy turec. 59-70,
Marki —.

Berlin dnia 18 grudnia. Przed sam-
knięciem wczorajszej giełdy notowane: kredy-
ty austriackie 319-25, staatsbanky 141-60,
losy tureckie 112-75.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kłeparsu.

Kraków 18 grudnia.
U nas w kraju zapasy zboża są już w znacznej
części wyczerpane, a zdaje się, że ten sam wy-
padek zachodzi także w Rosji. Z tego względu,
jakkolwiek tu na placu zapasy są jeszcze dosta-
teczne, sprzedający bynajmniej do ustępstw nie
są skłonni i wyzyskują lepszych konjunktur
wstrzymując się ze sprzedażą, podczas gdy ku-
pujący naprzód nie kupują, pokrywając jedynie
dzienne potrzeby. Z tego przyczyną o ceny dai-
szych towarów jest bardzo ograniczona, lecz
tendencja widocznie się wzmacnia i ony trochę
się znówu podniosły.

Płacono pszenice białą 10 80 do 11-25 sz., czar-
woną nową 11-25 do 11-80 sz., żółtą 11-25 do
11-75 sz., żyto nowe 8-35 do 8-80 sz., jęczmień
browarny 7-25 do 8-50 sz., na paszę 6-50 do 6-75
sz., owies nowy od 7-25 do 7-95 sz., owies de-
stew 0— do 0— sz., koniczyna czerw. — do 18-25,
złota 0— do 0— sz., bób 0— do 0— sz.,
wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń dnia 18 grudnia.

Notowano pszenicę na jesień — do —
ps

